Rok IV. Kraków 1 Stycznia 1896. **Nr I.**



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi** rocznie: **1** złr. **50** ct. półrocznie: **75** centów. *Kwartalnej* przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1** dolar.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie,** ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi raz w miesiącu — dnia **1**-go.

Każdy, kto złoży z góry **całoroczną** prenumeratę, otrzyma **bezpłatnie,** jako premię **„Kalendarz“** na rok bieżący 1896.

Od redakcyi!

Wszystkich, którzy ten I-szy numer *Nowego Dzwonka* otrzymali **na okaz,** a chcą nasze pismo prenumerować, prosimy, **aby przy nadsyłaniu prenumeraty nadmienili nam, że już ten I-szy numer posiadają.**

Zwrotu tego numeru nie żądamy, kto jednak chce otrzymać numer następny (2-gi) i dalsze, ten niech raczy jak **najwcześniej** nadesłać prenumeratę.

Raz na zawsze zaznaczamy, że *Nowy Dzwonek* **przesyłamy tylko tym, którzy przedtem zań zapłacą,** czyli z góry złożą prenumeratę! Kto przeto do końca stycznia b. r. przedpłaty nie nadeśle, ten następnego (2-go) numeru nie otrzyma!

„Kalendarz“ już jest wydrukowany i zaczniemy go rozsyłać z wszelką pewnością z początkiem **stycznia** b. r. tym, rozumie się, którzy już złożyli prenumeratę **całoroczną.**

Z Nowym Rokiem przesyłamy wszystkim naszym Czytelnikom: »Szczęść Boże. — Błogosław Boże« Wam, i nam i naszej pracy dla dobra wspólnego!

Redakcya.

Szczęść Boże!

Szczęść Boże, Bracia! rok nowy idzie,
Każdy z tęsknotą go czeka,
Może niejeden zapłakał w biedzie,
Bo któż od nieszczęść zdaleka?

Co nam przyniesie? — każdy się pyta —
Co nam zostawi w tem życiu?
Któż to odgadnie, gdzie to wyczyta?
Wszystko przed nami w ukryciu.

Życie to nasze, jak morskie fale.
Czy dola smutna, czy błoga,
Pracujmy szczerze, chętnie, wytrwale,
A resztę zdajmy na Boga.

Maleńki Jezu narodzony w żłobie,
Racz błogosławić w tym roku,
Smutki, niedole ofiarujem Tobie,
O łaski prosim z łzą w oku.

O Jezu Chryste, wiesz, co nam potrzeba,
Ty, który jesteś mądrością!
Daj nam do syta w tym roku chleba
I natchnij wszystkich prawością.

Błogosław wszystkim nam, o to błagamy
I serca wznosim do Ciebie,
Niechaj rozpaczy nigdy niezaznamy,
O Boże wieczny na niebie!

Jak się ludzie po wsiach leczą.

Niema człowieka, któryby się nie chciał uchronić przed chorobą, lub któryby w czasie choroby nie używał wszystkich środków, mogących przywrócić mu zdrowie.

Nie wszyscy przecież ludzie w jednakich źródłach szukają sposobów usunięcia choroby.

Jak w chwili nieszczęścia lub niepowodzenia jedni szukają w kieliszku ulgi na swoje strapienie, a drudzy przeciwnie przez wytrwałą pracę starają się usunąć złe, tak samo dzieje się i w leczeniu chorób.

Jedni w razie choroby *u kogokolwiek* szukają porady na swe cierpienia, drudzy, zaś, a ci są mądrzejsi, wierzą, że tylko ten

może im dobrze poradzić, kto doskonale zna wewnętrzny ustrój ciała, kto zna każdą jego żyłkę, jej drganie i uderzenie, kto zna przeznaczenie i właściwości najmniejszej błonki, krwi, soków, jakie są w ciele i t. d. Taką zaś znajomość mają tylko prawdziwi lekarze, którzy na to uczyli się przez długie lata w szkołach.

Często można słyszeć między ludźmi takie zdanie: »powiedz mi bracie, z kim poprzestajesz, a ja ci powiem coś ty za jeden«. Niektórzy stosują to zdanie i do tych, którzy zasięgają różnych rad w chorobach. Jeżeli człowiek w czasie choroby udaje się do znachorów, wróżów, owczarzy, bab — to o takim mówią, że nie wiele on ma oświaty, skoro powierza swe zdrowie ludziom ciemnym a nieznającym się na niczem.

Skoro zaś człowiek szuka w chorobie pomocy u prawdziwych uczonych lekarzy, to o takim się mówi, że to człowiek mądry i oświecony. Wielka w tem prawda.

W naszym kraju dziś niestety więcej jest takich ludzi, którzy nie wchodzą w to, że sztukę leczenia zna tylko ten, kto się jej uczył, a nie pojmując tego, używają do zwalczenia choroby najdziwaczniejszych lekarstw, podanych im przez pierwszą lepszą babę, owczarza, znachora i t. d., a powtóre nie potrafią odszukać *istotnej przyczyny* choroby.

Że ludzie nieoświeceni nie potrafią poznać istotnej przyczyny choroby, na to mamy codzień mnóstwo dowodów. Niech się na przykład zdarzy choroba wnet po jakiejś kłótni z sąsiadem, to już powstanie tej choroby przypisują owi ludzie albo zemście, albo zawiści swego nieprzyjaciela, nieraz chwilowego, i mówią: »zadał mi« — zadała mi« — »uroki dała memu dziecku« i t. p.

Dość jest nieraz przy wiejskiej kobiecie pochwalić urodę jej dziecka, a ta kobieta, będąc nieoświeconą, zaraz tę pochwałę weźmie za przyczynę choroby, gdy przypadkowo dziecko wnet potem zasłabnie.

»Dziecko dostało uroków« — powie sobie i do drugich, a kumoszki natychmiast biorą się do odczyniania uroku. Wymawiają wiec tajemnicze wyrazy, dziwnie nieraz machają rękoma, okadzają, zaklinają, a czasem spluwają, mówiąc: »na psa urok«. A niechno — powiadają — ktoś na tę ślinę nastąpi, już na niego przyjdzie choroba dziecka. A dziecko choruje mimo to dalej, bo chorobę spowodowały nie uroki, lecz przeziębienie, zapalenie płuc, przeładowanie żołądka, lub coś podobnego.

Bywa przecież i tak, że choroba nie da się przypisać »urokom«; wtedy troskliwe matki utrzymują stanowczo, że to musi być przesunięcie, opuszczenie ciemienia, lub tym podobne zboczenia wątlutkiego ciała. Więc mierzą dziecinę we wszystkie strony, wyciągają mu każdy jego stawek, potrząsają niem i za-

dają mu tysiączne udręczenia i męki dlatego jedynie, że nie potrafią poznać istotnej przyczyny choroby, spowodowanej zazwyczaj, jak wspomnieliśmy wyżej — przeziębieniem, złem jedzeniem, brudem i t. p., a lekarza prawdziwego poradzić się nie chcą.

W wieku dojrzałym więcej się przytrafia człowiekowi chorób, ludzie też więcej mają na nie nazw przedziwnych i jakby stanowiących istotę choroby. Więc powiadają wtedy, że kołtun, zapalenie krwi, kolki, róża — męczą człowieka, choć niedomaganie zupełnie od czego innego powstało i na czem innem polega.

Jak bardzo prędko ludzie prości i bez zastanowienia się określają swoje choroby, tak też prędko i bez żadnego namysłu przyjmują na nie różne leki.

Gdy więc przypadną kolki, zaziębienie, kaszel, darcie, zapalenie — na wszystko jednaki zażywa się lek: bańki cięte. Stawiają ich zaś tyle, ile im się na razie wydaje konieczne, albo na ile ich stać pieniędzy, i tym sposobem idzie na marne zdrowie ludzkie.

Nieraz zdarza się widzieć człowieka mającego suchoty, cierpiącego na brak krwi, który jednak każe sobie stawiać bańki i sam pozbywa się resztek krwi i życia.

Inni znowu każą sobie puszczać krew przez nacięcie żyły, i płacą umyślnie drożej, aby im więcej krwi wypuszczono. Nie wiedzą tacy biedacy, że krew ma w sobie żywność dla całego ciała; pozbywając się więc jej, marnujemy swe zdrowie tak samo, jak się niszczy drzewo przez wypuszczenie zeń soków. Tylko uczony lekarz może określić kiedy, ile, i z którego miejsca krew należy ściągnąć.

Opowiedzieliśmy tu pokrótce jak ludzie nieoświeceni, nie umiejąc dojść prawdziwej przyczyny tej lub owej choroby, używają najniewłaściwszych leków. Drugim razem opowiemy, jak znachory, owczarze i baby leczą, jakie przepisują lekarstwa i czy one mogą skutkować. *M.*

O dawnych Słowianach — przodkach naszych.

Co to za lud? — Zkąd się wzięli w Europie i kiedy przybyli. — Jakie były ich urządzenia w rodzinie. — Jaki mieli charakter i przymioty osobiste.

Naród *polski*, do którego należymy, jest *częścią* jednego wielkiego plemienia ludzkiego, które się zowie **Słowianami.**

Słowianie stanowią po dziś dzień jedno z największych plemion, a zamieszkują ogromne przestrzenie ziemi, ciągnące się **od**

zachodu północnego między morzem Bałtyckiem, aż na wschód do morza Czarnego, od południa między górami Tatrami, aż po za rzekę Wołgę na północ. Cała ta masa ludu jest *ludem słowiańskim*, liczącym przeszło 50 milionów dusz.

To ogromne plemię rozpada się na kilka szczepów, między któremi są jedne większe i znaczniejsze, a drugie pomniejsze. Do znaczniejszych między Słowianami szczepów, należą; 1) *Polacy*, 2) *Czesi* i 3) *Rusini*. Do pomniejszych zaś ludów słowiańskich liczymy *Słowaków*, mieszkających w dzisiejszych Węgrzech, Morawian, Serbów i Kroatów.

W dawniejszych wiekach było takich szczepów daleko więcej, a brały one dla siebie nazwy już to od pochodzenia, już od miejsca, na którem przebywały, już też od gór, lasów i rzek.

I tak naprzykład: około IX wieku po narodzeniu P. Jezusa daleko od nas na północ nad jeziorem Ilmenu siedzieli *Nowogrodzanie*, do których należał Nowogród Wielki; koło Połocka siedzieli *Połoczanie*. Za Dnieprem byli *Radymiczanie*. Po obu stronach Karpat mieszkali *Chrobatowie* (gdzie dziś Kraków); nad rzeką Morawą mieli siedliska i mają *Morawianie*, a nad Mołdawą osiedlili się *Czechowie*.

Dalej na zachód, gdzie dziś mieszkają Niemcy, mieszkali dawniej również Słowianie. Naprzykład nad rzeką Odrą żyli *Wilcy* czyli *Lutycy*, koło morza Bałtyckiego mieszkali *Obotryci*. W środku zaś ziem słowiańskich koło Wisły rozciągały się plemiona *Lechów* czyli *Lachów*, do których należeli; *Pomorzanie*, *Kujawianie*, *Mazowszanie* i *Polanie*, a koło Wrocławia *Szlązacy*.

Jedne z tych szczepów zawojowane zostały bardzo dawno przez Niemców i po części wyginęły, inne połączyły się dla wspólnej obrony razem i tak powoli na wierzch wypłynęli: Polacy, Rusini i Czesi.

Jesteśmy więc Słowianami, a skoro tak, to powinno nas interesować, zkąd i kiedy ci nasi przodkowie przybyli, jak oni żyli i dlaczego ich tak, t. j. »Słowianami« nazwano.

Zacznijmy od tego ostatniego pytania.

Jakkolwiek lud ten był rozdrobiony na liczne szczepy, mimo to wszystkie te szczepy uważały się jakby za członków jednej wielkiej rodziny, a mając mowę dla wszystkich zrozumiałą i wspólną, powiadali, że mają »słowo«, tymczasem zaś wszystkich cudzoziemców, że ich nie mogli zrozumieć, nazywali »niemymi« czyli Niemcami.

Kiedy Słowianie i zkąd tu przybyli, gdzie dziś mieszkają, to napewno i dokładnie wiadomem nie jest, bo działo się to bardzo dawno, na kilka jeszcze wieków przed narodzeniem P. Jezusa. Starożytni greccy i rzymscy pisarze nazywali ich wtedy »Sarma-

tami«. Inni atoli historycy twierdzą, że Słowianie przybyli tu dopiero w czterysta lat po narodzeniu P. Jezusa, a w dwieście lat później, czyli w wieku VI, zaczęły się pojedyncze szczepy łączyć w większe pokolenia.

Nie jednakowe także są zdania co do tego, zkąd Słowianie do Europy przybyli. Jedni powiadają, że z krain daleko na Wschodzie po za Ziemią świętą, lub koło niej leżących, to jest z Chaldei lub Fenicyi, a inni wreszcie że aż z Indyj. Za tem ostatniem to ma przemawiać, że język słowiański z pomiędzy wszystkich języków europejskich ma największe podobieństwo do staroindyjskiego czyli jak go dziś nazywają »sanskryckiego« języka. Są i tacy, którzy powiadają, że Słowianie przyszli do dzisiejszych swoich siedzib zaraz po rozprószeniu się ludzi po świecie, to jest od budowy wieży Babel. Ale to się nam nie wydaje prawdziwem.

Od najdawniejszych czasów narody słowiańskie rządziły się samowładnie. Kraj przez nich zamieszkany, był w owych wiekach, zwłaszcza tu, gdzie dzisiaj Polska, zasiany niezliczonemi jeziorami i moczarami. Ludność mieszkała przeważnie w puszczach, nieliczna i rozrzucona, a żywiła się z myśliwstwa, rybołostwa, chowu bydła, a po części z rolnictwa.

Ludzie ci nie łączyli się z początku w żadne wsie lub osady, lecz każdy w odstępie leśnym zakładał sobie osobne domostwo, karczował na około las i uprawiał kawałek pola w ten sposób uzyskanego z pomocą swej rodziny, która z nim mieszkała, oraz z pomocą czeladzi i niewolników, których kupił lub zdobył na wojennej wyprawie.

Własności gruntowej nie było u nich, ani dziedzictwa osobistego. Lasy, pastwiska, łąki a nawet i pola, uważali za wspólną własność należącą do całej osady.

Najstarszy syn obejmował po ojcu rządy w rodzinie, młodsi zaś albo przy nim zostawali, albo z częścią dobytku przenosili się opodal i zakładali domostwa. Związki rodzinne, władzę ojcowską szanowano bardzo, ale gmin wiejskich nie było, za to istniały tak zwane *związki polityczne*, o których pomówimy później.

Każda osada słowiańska nosiła nazwę »swobody« albo »słobody« i miała swoje oddzielne szczególne miejsca.

Co się tyczy osobistych przymiotów ludów słowiańskich, to wszyscy się na to zgadzają, że się one odznaczały zawsze skromnością i umiarkowaniem. Z twarzy byli do siebie podobni, z mowy i charakteru. Z natury weseli, lubili bardzo muzykę. Poczciwość, rzetelność, łagodność, nawet względem swych nieprzyjaciół, piękne ich cechowały dusze.

Wolność cenili nad życie i bronili jej do upadłego, dlatego i mężczyzni i kobiety uczyli się władać orężem.



BETLEEM (do artykułu: „Obrazki z Ziemi świętej").

Z cudzoziemcami do siebie przybyłymi obchodzili się jak najgościnniej i karali tych, którzy się z gośćmi źle obchodzili. Wrogów dopóty za nieprzyjaciół uważali, dopóki stali na placu bitwy.

Wszyscy mieli ciała rosłe, zdrowe i silne, i na niewygody wszelkie mocno zahartowane.

Jak zaś mieszkali, jakie mieli prawa, według których się rządzili, o tem będzie w następnych numerach.

Obrazki z Ziemi świętej.

Betleem. (Rycina na stronie 7).

Niema chrześcijanina, któryby nie pragnął zobaczyć tych miejsc świętych, które Chrystus Pan, przyszedłszy na ziemię, uświęcił swym pobytem, męką i śmiercią. Ale te miejsca daleko od nas i mało jest takich szczęśliwych, którzy mogą udać się do Ziemi świętej, bo na to wiele grosza i czasu potrzeba.

Że zaś każdy pragnie mieć o Ziemi świętej choćby jakie takie wyobrażenie, więc chcąc się przysłużyć naszym kochanym Czytelnikom, podawać będziemy w *Nowym Dzwonku* ryciny, czyli **obrazki**, przedstawiające ważniejsze miejsca święte w Palestynie.

Zaczynamy od *Betleemu*, gdzie się narodził nasz Najdroższy Odkupiciel Jezus Chrystus.

Betleem leży prawie w środku ziemi Judzkiej, o dwie godziny drogi na południe od Jerozolimy. Zwało się ono dawniej także »miastem Dawida«, albowiem ztąd pochodzili jego przodkowie i tu była jego ojcowizna. Z przyczyny płodności ziemi, nazywano je także »Domem Chleba«.

Już w księgach Mojżesza jest wzmianka o Betleemie, więc najmniej trzy tysiące lat istnieje to miasteczko, co pokazuje szczególniejszą opiekę Pana Boga nad tą błogosławioną miejscowością.

To miasteczko stało się znakomitem nie swą wielkością i bogactwy, lecz głównie dla Tajemnic w niem spełnionych. Bo, oto — jak czytamy w Ewangeliach świętych — gdy Najświętsza Marya Panna z Oblubieńcem swym Józefem św., idąc na spis ludności, nakazany przez cesarza Augusta, przybyli późno do Betleemu, a nie znaleźli tam nigdzie miejsca w żadnej gospodzie na nocleg, zmuszeni byli schronić się za miastem do niejakiej groty, która używana była za stajenkę dla bydląt. Tam w tej grocie narodził się Zbawiciel świata, i ztąd przyszła sława na Betleem.

W biegu czasu przechodziło to miasteczko różne koleje. Rzymski cesarz Adryan, wróg wiary chrześcijańskiej, zelżył to miasto, kazawszy tam wystawić pogańską świątynię na cześć bożka Adonisa. Później, gdy wiara chrześcijańska podbiła już i trony

królewskie, cesarzowa Helena obaliła tę świątynię, a na jej miejscu wybudowała wspaniały kościół, grotę zaś, gdzie się narodził Pan Jezus, ozdobiła kosztownemi marmurami.

Od chwili, gdy Turcy zajęli Ziemię świętą, Betleem zaczęło podupadać, a dziś jest prawie małą mieściną, zamieszkałą przez 3000 ludzi, którzy się trudnią wyrabianiem koronek, krzyżyków, różańców i medalików.

Koło Betleemu są góry i doliny wcale nie źle uprawne, a z pięknych sadów słynie Betleem w całej Judei. Mimo atoli i ziemi dobrej i zarobku nie małego, widać wszędzie ubóstwo i wschodnie niechlujstwo.

Prócz ładnej świątyni i ogromnego klasztoru, nic tu niema do widzenia; domy jak szopy w czworogran zbudowane, z dwiema niezgrabnemi dziurami, które drzwiami i oknem zowią, mają dach zupełnie płaski.

Główną ozdobą i najważniejszem miejscem w Betleemie jest świątynia, oraz grota Narodzenia Pańskiego, i o nich też napiszemy w przyszłym numerze.

STRACHY.

(Obrazek wiejski).

W jednej z wiosek w Lubelskiem (pod Moskalem), w kuchni szlacheckiego dworu, po skończonych dziennych zatrudnieniach, dziewki zasiadły do kądzieli, a parobcy do plecenia rogóżek łyczanych. Wieczór był jesienny słotny, ogień gorzał na kominie; ażeby czas prędzej uchodził, dziewczęta chyhocząc się między sobą, dogadywały parobkom, oni się gracko odcinali, i w izbie było gwaru i śmiechu dosyć, a pomimo tego robota szła żywo i składnie.

Najprzystojniejszą i najzgrabniejszą z dziewcząt była Jagusia sierota. Pani wzięła ją do dworu dziewczynką dwunastoletnią, bo ojciec jej, parobek w gorzelni poparzony przy pęknięciu kotła, w kilka dni po tym wypadku w ciężkich cierpieniach życie zakończył, a matka dotknięta tą bolesną stratą, ze zgryzoty wkrótce przeniosła się za nim. Jagusia jasna blondynka, z niebieskiemi pełnemi oczyma, smukła i zgrabna, najczęściej była smutna, a o łzy u niej łatwiej było, jak o uśmiech. Pani ją lubiła, bo była cicha, potulna i pracowita, a i parobcy najwięcej koło niej się uwijali; bo oprócz przystojności, nęciła ich jeszcze obietnica poczciwej pani, że Jagusi sieroty nie wyda za mąż bez wiana.

Jagusia niewiele zważała na te ich zaloty, bo kończyła zaledwie rok ośmnasty; a jednak kiedy jeden z nich *ladajakim Ku-*

busiem od innych zwany, psotnik, zawadyak, do niej przemówił to nie odwracała od niego jasnej główki, a nieraz za dobre słowo i uśmiechem zapłaciła. Kubusiowi także ona nieraz była na myśli, ale tuż obok niej roiła się jakaś psota, i zarazem o wszystkiem zapominał.

Z kolei rozmowy przyszło nareszcie do strachów, bo w długi jesienny wieczór jakże o nich nie wspomnieć? Stara Katarzyna kucharka opowiadała, jak u nieboszczki jej kumy Piotrowej siedział djabeł na strychu, a ona mu codzień nosiła kaszę jaglaną bez soli.

— To się djabeł musiał dopiero upaść — wtrącił któryś z parobków.

— Niby nasz Kubuś, któremu kaszy nie nastarcz.

— Rychtyk taki jak on — ciągnęła dalej kucharka — bo jemu tylko rogi przypraw, tak istny z niego djabeł. Ale tamten kaszy nie jadł darmo; w całej wsi krowy nie dawały mleka, wszędzie len i konopie przepadły, a u niej jak las; u kogo na przednowku była bieda, u niej zawsze chleb rumiany w piecu się dopiekał. Wszyscy się strasznie temu dziwowali, a jak raz parobek Jacek chciał obaczyć tego djabła i wsadził łeb na górę, djabeł jak go uciął w pyzę, to aż sześć niedziel nosił ją spuchniętą.

— Ba, żebyć to tyle było!... ale widzicie, jak się tej Piotrowej djabeł sprzykrzył, to w nieckach pod podwijką wyniosła go na gościniec pod most i posadziła go tam, aby ludziom psoty wyrabiał.

— A zbytna to bestyja — odezwał się parobek; — ja łońskiego roku jechałem z Żółkiewki i w Ganach w karczmie spotkałem się z Matysiakiem. Zabawiliśmy się trochę, i już dobrze było w noc, jak wjechałem w las. Jadę koło mostu, patrzę, aż coś leży na drodze; słucham, a to beczy. O daj go tu, pomyślałem: ktoś jechał i zgubił barana. Ściągnąłem lejce, a ja dalej z wozu po znalezienie.

Patrzę, istny baran, a taki wielki, jak źrebiec; ruszam żeby wstał, ale gdzietam!... nogi ma związane. Biorę się do niego; hej ciężka bestya... ani ruszyć. Wyjąłem deskę z wozu, oparłem jeden koniec na wozie, a drugi na ziemi, i jak się przysadziłem tęgo, tak wpakowałem go przecie na wóz. Prawda, że mię coś w krzyżu zabolało, ale gdzietam człowiek o tem myślał, kiedy mu przed oczyma stał Icek pachciarz, jak targuje barana i płaci za niego dwa rubelki.

Świsnąłem na konie i jadę; ujechałem może z dziesięć staj, patrzę, a mego barana niema; zleciał z wozu. Zakląłem na djabła i wróciłem. Koło mostu jest moja zguba, nuż ją dźwigać znowu; a ze złości jak go porwałem, to i bez deski wpakowałem na wóz.

Poczekaj bestyo, pomyślałem sobie, przywiążę cię do kłonic, już mi nie zlecisz. Jadę znowu przyśpiewując sobie, i dojechałem aż do Maćkowej miedzy; oglądam się, niema barana.

Strach mnie wziął, ale że człowiek miał trochę w głowie, a na myśli dwa ruble, to i o strachu zapomniał. Wracam, baran znowu leży w tem samem miejscu; dźwigam, aż mi oczy wyłażą i znowu baran na wozie. Wziąłem go za kark i za nogi przywiązałem do wozu; ha! już mi teraz nie zlecisz!... i pojechałem dalej.

Przyjeżdżam do tej figury, co stoi wedle jeziorka, czapka z głowy, i przeżegnałem się; słyszę, aż tu za mną hi! hi! hi! coś się roześmiało — patrzę, a barana niema.

Włosy mi na głowie stanęły, iskry zaświeciły w oczach i nie wiem, co się dalej stało, dość, że konie z wozem znaleźli ludzie nazajutrz aż pod lasem, a ja leżałem w błocie koło jeziorka prawie bez duszy. Niech go źli porwią tego barana; dziesięć niedziel przechorowałem, a tak ciężko, że już człek i na śmierć się spowiadał.

— Dobrze wam tak, po co było łakomić się na nieswoje.

— Jużcić to chyba było nawiedzenie Boże; i teraz żebym panie wór złota znalazł, to anibym pomyślał ukradkiem go schować.

— Ej gadki — odezwał się Kubuś ladajaki — albo to baran był?... wyśta tylko *bez* wódkę widzieli barana. Ot ja, to potrzeźwemu widziałem stracha.

— Gdzie, gdzie? — powtórzyło kilka głosów.

— Gdzie? koło lamusa — bąknął Kubuś i znów umilkł, spuściwszy oczy na rogóżkę.

Lamus położony był zaraz za dworem i mieścił w sobie skład nietylko nabiału, ale i przeróżnych marynat, wódek, likieru, win i miodu i t. p. rzeczy i pani nieraz, zwłaszcza gdy byli goście, wysyłała którą z zaufańszych sług, po rozmaite potrzeby do stołu. Najczęściej Jadwisia odbierała ten dowód zaufania, i ona też najpierwsza obróciła oczy na Kubusia; ale on nie podniósł swoich, tylko jakby naumyślnie plótł zawzięcie rogóżkę.

— Cóż to był za strach? — zarzuciło kilka kobiecych i męskich głosów.

— Ot już radzibyśta wiedzieć, żeby potem rozpleść po całej wsi.

— Podnieśno łeb i gadaj coś widział — odezwała się kucharka, ośmielona stopniem jaki zajmowała, a który mimo woli jednał jej uległość wszystkich stołowników.

— Ha, kiedy już wam tak się żąda, to powiem; tylko na miły Bóg nie gadajta ani pani, ani ekonomowi, bo pewnikiem oberwałbym za uszy.

Wczoraj po wieczerzy poleciałem na wieś do Stacha; wra-

cam, już się w kuchni nie świeciło, a wiater wygwizdywał, kieby Franek na fujarze. Idę koło lamusa, a tu coś zaszumiało; oglądam się, jakieś czarne wielkie psisko hyc przez furtkę i do lamusa. Ani chybi. bryś, pomyślałem sobie; szkodna bestya, chce się dobrać do saganów... i poszedłem za nim. Patrzta, ledwie skoczyłem ze dwóch schodów, a tu bestya jak nie otworzy pyska, jak nie bryźnie na mnie iskrami. O! Święty Boże, nogi się podemną zatrzęsły; jak drapnę na górę, to nie oparłem się aż w stajni. Żebyśta wiedzieli, to już kury piały, a ja jeszcze dzwoniłem zębami i mówiłem pacierz, bo to musi jakieś złe mnie nagabało.

— Ty nicponiu, pewnie ze strachem łyknąłeś ze trzy półkwaterki i tak ci się w ślipiach iskrzyło!

— Gadajcie sobie zdrowi; ja i niucha tabaki nie widziałem, a dopieroż półkwaterka.

— To zmyślasz ladaco, żeby nas straszyć — odezwała się jedna z dziewek.

— Miałbym kogo straszyć aż ciebie, kiedy ciebie toby się i sam djabeł przestraszył — odrzekł spokojnie Kubuś. Wszyscy się zaśmieli, jedna tylko Jadwisia poglądała na mówiącego ze strachem.

Dano wieczerzę, kłótnia o skwarki i smaczniejsze kąski zmieniała tok rozmowy; po wieczerzy parobcy wynieśli się do stajen, a dziewki długo jeszcze gwarzyły o owym strachu z lamusa.

Po kilku dniach, w taki sam wieczór słotny i wietrzny, do pani zajechali goście. Krzątaniny było dosyć do późnej nocy i już parobcy zabierali się do stajen, gdy pani zawołała Jadwisię, dała jej klucze i kazała co prędzej skoczyć do lamusa i przynieść butelkę starego miodu z trzema pieczątkami.

Pani tak kazała się spieszyć, aby goście od stołu nie wstali, że dziewczęciu wyszedł zupełnie z głowy strach pokutujący w lamusie; jakoż zapaliwszy świecę w latarce, która dwie szyby miała wybite, wybiegła z kuchni.

W kilka minut krzyk przeraźliwy, bolesny dał się słyszeć w stronie lamusa; wybiegli wszyscy i znaleźli Jagusię leżącą bez zmysłów na schodach, z potłuczoną na drobne kawałki latarką. Nikogo więcej nie było, a jednak gdy przynieśli światło, znaleźli przed lamusem kilka rozżarzonych węgli i płachtę, którą nie wiedzieć na co z kuchni zabrał Kubuś.

Biedną dziewczynę zaniesiono do izby, zlano wodą i nareszcie docucono się — ale cóż z tego, kiedy zaraz nazajutrz pokazały się ślady gwałtownego tyfusu. Sprowadzony lekarz niewiele robił nadziei. Jagusia konała powoli, a łotr Kubuś nie chciał się przyznać do winy, choć wszelkie poszlaki naprowadzały na ślad, że to jego była sprawka. Spokojny i obojętny jak zawsze, na

wszystko miał gotową wymówkę, a choć ekonom przekonany sumiennie o jego winie, kazał mu wyliczyć szesnaście odlewanych, karę zniósł, a nie przyznał się do występku.

Tymczasem życie sieroty gasło z każdą chwilą; na godzinę przed zgonem odzyskała przytomność, pożegnała czule swoją dobrą panią, która o niej prawdziwie macierzyńskie miała staranie, a kiedy jej wspomniano, że to pewno Kubuś przez psotę postraszył ją, nic nie odpowiedziała, tylko dwie łzy potoczyły się po wybladłej twarzy.

Na drugi dzień po pogrzebie Jagusi, łotra Kubusia wypędzono ze dworu. Nie okazał on żadnego żalu po sierocie, nawet gdy trumnę wynoszono i kładziono na wozie, to on bronując pod samym dworem ogród po wykopanych kartoflach, gwizdał jakąś piosneczkę. Wszyscy na niego wymyślali, nazywali zabójcą, a on wszystkich zbywał pół naprawdę, pół żartem i kamienną obojętność do ostatka zachował.

* * *

W kilka lat po tem zdarzeniu, którego sam byłem świadkiem, przyjechałem na odpust do Radecznicy i rozgościwszy się w lasku pod drzewem, wybrałem się do kościoła.

Idąc podwórzem do zakrystyi, minąłem wielu dziadów siedzących rzędami i błagających o litość, gdy zwrócił moją uwagę kaleka bez nóg i z krzywemi rękoma. Suwał się on po ziemi w drewnianych korytkach, za pomocą tych krzywych rąk, na których miał także dwa drewniane sandały. Twarz jego pomimo młodych rysów nosiła ciężkie ślady boleści.

— Choć groszyk panie, biednemu kalece — przemówił do mnie, nadstawiając sandała.

Głos ten zdał mi się być znany.

— Jak ty się zowiesz?

— Jakób Łozek.

— Czy nie nazywano ciebie *Kubuś ladajaki?*

— A tak, zkąd to pan wie?

— Bo cię znam, ty byłeś parobkiem u państwa...

— A tak panie.

— Cóż u licha, byłeś zdrów i tęgi.

— A teraz kaleka i cherlak.

— Cóż ci się stało?

— Ot psie figle.

— Jakto?

— A tak panie: ze dworu mnie wypędzili, poszedłem na służbę do sołtysa; wpodle były dziewuchy, a mnie zawsze we łbie świtało. Zrobiłem sobie szczudła, okręcałem się płachtą i stra-

szyłem. Jak raz narobiłem rajwachu, wyleciał sam gospodarz i nuż gnać mnie z kijem; uciekając na szczudłach i w płachcie, wpadłem w kartoflany dół i złamałem obydwie nogi, jeszcze jak powiadali w dwóch miejscach, a ręce powykręcałem. Zawieźli mnie do szpitala i tam doktór kazał mi uciąć nogi, a ręce prostował i nie wyprostował. Potem chorowałem ciężko przez dwa lata i... nie umarłem.

Te ostatnie słowa wymówił z nieudaną boleścią. Pochwyciłem szczęśliwą porę i rzekłem:

— Nie umarłeś, bo Bóg zostawił czas, abyś odpokutował za śmierć Jadwisi sieroty, abyś przebłagał gniew Boski. Wycierpiałeś wiele, zostałeś kaleką, nędzarzem; ale dziękuj za to Bogu, bo jeszcze szczerym żalem ocalić możesz duszę.

Łzy sznurkiem popłynęły po żółtej twarzy kaleki. Dałem mu jałmużnę, on w milczeniu pocałował moją rękę i łez pełne oczy obrócił ku kościołowi. Zapewne myśl jego pobiegła do stóp ołtarza, błagać św. Antoniego Radecznickiego o przyczynienie się za grzesznikiem. *R.*

Z wiarą i w jedności!

Nie płaczcie syny, Polska jeszcze żyje,
Choć nie tak świetna, jaka kiedyś była;
Przyjdzie czas jeszcze, w którym znów odżyje,
Nabierze siły, co przemoc zniszczyła.

I orzeł polski rozwinie swe skrzydła,
Wzniesie się w górę ponad naszą ziemię;
My pod nim zrzucim ze siebie wędzidła
I znów odżyje nasze polskie plemię!

O! wtenczas bracia dłoń z dłonią, brat z bratem
Staniem do pracy jednomyślni, zgodni,
Cudów dokażem przed zdumionym światem;
Dowiedziem, żeśmy też wolności godni!

Lecz tylko z Bogiem, z wiarą polskie dzieci!
Bóg nam jedyny przecież dopomoże!
Choć grom po gromie nie jeden przeleci
Przetrwamy wszystko! — Dopomóż nam Boże!

Nagroda męstwa.

Polska nigdy nie była w takich opałach i niebezpieczeństwach, jak za czasów Jana Kazimierza.

Szwedzi, Moskale, Kozacy nękali królestwo, zgubę mu gotując.

Przed groźną potęgą Szweda korzyły się prawie wszystkie miasta, jedna Częstochowa i Gdańsk hardo oparły się najezdcy.

Cudowna obrona Częstochowy natchnęła kochających ojczyznę ludzi, że zawiązali w Tyszowcach konfederacyę, postanawiając bronić kraju do ostatniej kropli krwi.

Bóg pobłogosławił tym usiłowaniom i postanowieniom.

Przepędzono Szwedów aż za morze i tylko niewielka ich liczba pozostała w pruskich grodach, obwarowawszy się tam, szczególniej w twierdzy Malborgu.

Wypłoszyć ich ztamtąd postanowił hetman polny Jerzy Lubomirski...

W Tucholi mieszkał wówczas młynarz, którego Michałkiem zwano. Codzień od świtu warczał młyn jego, poruszany wodami rzeki Brdy, która wpada do Wisły, poniżej miasta Bydgoszczy.

Był to człowiek młody, niezmiernie pracowity i uczciwy, a dobry Polak, bo nietylko imieniem, ale i sercem i duszą całą.

Gdy na Polskę waliły się klęski jedna po drugiej, on trapił się tem bardzo i do codziennej modlitwy dodawał słowa: Boże wszechmogący ulituj się nad ojczyzną moją, nie daj jej przepaść marnie!

A modlitwę tę powtarzał nie raz, nie dwa, ale sto razy na dzień. Jednakże na samej prośbie o zmiłowanie Boże nie poprzestał. Wiedział, że Pan Bóg gnuśnego nie wysłucha. Więc też, gdy Szwedzi rozwielmożnili się w Prusiech, Michałek rady sobie dać nie mógł.

W okolicy Tucholi Szwedów jak maku. Michałek co którego spotka, to zgrzytnie zębami i idzie do swojej roboty do młyna, ale o zemście nad barbarzyńskim Szwedem przemyśliwa. Szwed i jego nie oszczędza: to śluzy mu popsuł koło młyna, to zboże zagrabił, to grosz zaoszczędzony wykradł, a nareszcie dnia jednego urządził sobie zabawkę z jego żmudnej pracy. Kilkadziesiąt worów mąki posypał na fale Brdy, bawiąc się białą mączną pianą, co na falach daleko płynęła. Z bólem serca patrzał Michałek na te niegodziwe igraszki, ale milczał, gdy tymczasem Szwedzi, usiadłszy nad brzegiem rzeki, zapijali się do upadłego zrabowaną gorzałką. Upiwszy się, nie mogli zdążyć do swej kwatery i przespali się na młynówce. Ale Michałek podmówił czeladź i w nocy krwi im porządnie utoczył.

— Wszak wroga bić się nam godzi! — mówił sobie młynarczyk.

Na takich ścieraniach się ze Szwedami strawił Michałek lat kilka. Zmężniał przez ten czas i urósł na prawdziwego żołnierza. Wąsika tylko pokręcał, a pięść pokazywał nieprzyjacielowi.

Nadszedł rok 1659.

Skoro Michałek dowiedział się, że hetman Lubomirski Malborg oblega, powiedział sobie:

O! moja szabelka rdzewieć nie będzie!

I coprędzej przypasał błyszczący kord, który złupił jakiemuś Szwedowi, zebrał drużynę z mieszkańców Tucholi, między tymi i wieśniaków kilku i poszedł ku twierdzy.

Gdy przybył, oblężenie rozpaliło się ze zgrozą. Szwedzi miotali kamienie z twierdzy, z armat walili, zapalone belki rzucali na wdzierających się na mury Polaków. Dużo tym sposobem złego narobili.

Michałek z towarzyszami wdzierał się na szańce i wracał zawsze z szwedzkimi jeńcami; szczególniej mu się to udawało w nocy. Co noc przyprowadzał po kilkunastu takich jeńców do hetmana. Płatał Szwedom srogie figle: to porywając ich, to pożar wzniecając w zajętych przez nich budynkach, to zagwożdżając ich działa, lub odbijając żywność, którą nadwożono do twierdzy. Dobrze się też dał we znaki nieprzyjacielowi, a swoim przysłużył się niemało.

Nareszcie komendant twierdzy, niewzruszony dotąd, nawet gdy kula rozniosła jego czteroletniego synka, gdy niebacznie stanął na obronnym wale; teraz widział się zmuszonym do poddania się hetmanowi polskiemu. Tego samego miesiąca (grudnia) przybył król Jan Kazimierz do Gdańska. Zwycięzcy witali go z radością i uniesieniem. Gdańsk mógł się poszczycić, że do pognębienia Szwedów w Prusiech wielce się przyczynił.

Król łaskawie wszystkich przyjmował i dziękował z serca za uratowanie kraju i czci imienia polskiego.

Lubomirski odebrawszy podziękowanie królewskie, wymienił mu imiona wszystkich odważnych bojowników.

— Najmiłościwszy królu! — powiedział wkońcu hetman — nie mogę także przepomnieć imienia pewnego młynarza, którego Michałkiem zwą. Harcownik to nielada! — Bije się za ojczyznę i króla, jakby za rodzoną matkę i ojca.

— Imię to nie jest mi zupełnie nieznane; wspominał mi już o tym młynarzu rajca gdański — odpowiedział król. Przywiedźcie go do mnie hetmanię, chcę poznać tego mężnego młodzieńca.

Ucieszył się tem żądaniem Lubomirski i zaraz na drugi dzień wziął z sobą Michałka. Tego dnia przyjmował król wszystkich



Przenajświętsza Rodzina.

bardzo uroczyście i przemawiał uprzejmie do przybywających, zasiadłszy na sporządzonym umyślnie tronie, otoczony senatorami, Biskupami i innymi dostojnikami.

Michałek, który nigdy króla nie widział, pierwszy raz znalazł się w tak świetnem otoczeniu. Nieśmiało przystąpił na wezwanie królewskie do tronu; wtem król przemówiwszy parę słów do obok siedzącego kanclerza, wręczył młynarzowi pergamin z ogromną woskową pieczęcią, mówiąc:

— Niech żyje męstwo syna Polski!

— Niech żyje ojczyzna i król! — zawołano dokoła.

Michałek, po odebraniu dokumentu, przykląkł na jedno kolano, na stopniach tronu, ale okazał niemałe zakłopotanie.

Stojący przy nim Lubomirski dostrzegł to i rzekł:

— Najjaśniejszy panie! Ten nieborak czytać nie umie, bo jego abecadło składa się z wozów mąki.

Król uśmiechnął się dobrotliwie.

— Chwałę przynosisz twemu stanowi — rzekł — za waleczne swe czyny, za męstwo w boju, za wierną służbę krajowi, należy ci się nagroda. Ojczyzna nie może cię więcej obdarzyć, jak ofiarując tak bardzo ceniony klejnot: szlachectwo. Tym oto dokumentem mianujemy cię szlachcicem. Raz jeszcze niech żyje męstwo Michała Tucholskiego.

Głośne wiwaty zawtórowały słowom króla.

Tucholczyk, w szlachcica teraz przemieniony, czerwienił się z uciechy i dziękował panom za względy, a oni go ściskali szczerze jak brata, mówiąc:

— Nic ci to stan nie znaczy; kto szlachetny, zawsze na uznanie zasługuje — a kto Polsce wiernie służy, ten jej syn najdroższy i szlachcicem być godzien.

Najświętsza Marya Panna między zbójcami.

(Podanie ludowe).

I.

Był w ciemnym borze srogi zbój, co napadał ludzi po drogach, mordował i ograbiał.

Tędy wypadło Rodzinie św. do Egiptu uciekać.

Ale bór ciemny ze zbójecką zasadzką strachem ich przejmował; wiodły przezeń dwie drogi: jedna na prawo, druga na lewo. Na prawo droga prowadziła przez gęstą olszynę, obok mieszkania zbója, na lewo przez chaszcze i wertepy, w których łatwo było zabłądzić.

Święty Józef i Marya Panna z Jezusem zdali się na wolę Bożą, nabrali otuchy i puścili się w gąszcz.

W lesie zmrok już zapadał, chłodne opary z ziemi podnosić się już zaczynały. Boże Dziecię przeziębło i żałośliwie popłakiwało u matczynej piersi.

Usiadła tedy Marya Panna pod drzewem, aby nakarmić Jezusa, a przytem kilka kropel pokarmu spadło na oset, co wyrastał u Jej kolan i z tego na listkach białe plamki pozostały, aby był naznaczony, jako jest osetkiem Najśw. Panny.

Zciemniało się coraz bardziej i bardziej, a wśród boru straszno było nocować.

Zbój, co na podróżnych przy drodze czatował, usłyszał głosy ludzkie w gęstwinie i skierował się w tę stronę, jak zwierz drapieżny skradając się chyłkiem.

Myślał, że przyjdzie mu mordować.

Aż oto poczuł, że mu na ramieniu maczuga, od nasiąkłej krwi aż czerwona, dziwnie ociężała tak, że ją udźwignąć ledwie zdołał.

Spojrzy przed się, a tu w oczach mu nagle zaświeciło; spojrzy znów i widzi najwyraźniej trzy księżyce nad owem miejscem, gdzie Rodzina św. spoczywała.

Dojrzał w gęstwinie Maryę Pannę z Dzieciną i Józefem, skulonych od chłodu i deszczem zmoczonych na słocie.

Zamierzał spytać: skąd się tu wzięli i dokąd chcą?... ale mu wargi zdrętwiały, nieswojsko mu się zrobiło, mruczał jeno, jak dziki zwierz, zaskoczony niespodzianie w ostępach i kroku ruszyć dalej nie śmiał.

Schwyciła go moc jakaś niewidzialna i wcisnęła w ziemię, aby tak stał w odległości od Dziecięcia Bożego, jako zbrodniarz niegodny zbliżyć się do św. Majestatu...

Rozumiał tedy, że mu się tknąć ani niewiasty, ani dziecka, ani starca nie godzi, bo coś zaporą między nim a nimi stanęło — i te trzy księżyce nad ich głowami ostrzegały go, że nie zwyczajni ludzie są, przeciw którym maczuga jego nic nie poradzi.

Srogość go zwykła ominęła, choć ponuro spoglądał, jakby się własnej niemocy sromał.

— Jakżeż w borze na słocie takiej szukacie? — spytał wreszcie, grubego głosu dobywszy z piersi — oto tam dom mój przy drodze za olszyną. Wejdźcie i zanocujcie...

Weszła tedy pod dach zbójeckiej zagrody Najśw. Panna z Jezusem i Józefem św., a żona zbója powitała ich zalękniona, ale gościny nie odmówiła.

Widok dziecka przy piersi zdjął ją litością, bo sama matką była; rozumiała, że mąż jej umyślnie tę trójcę z boru w dom

nasłał, aby wszystko troje uśmiercić w sposobnej chwili, rzekła tedy z dobrego serca:

— Spieszcie się moi ludzie, póki czas i niechajcie noclegu w tem miejscu!... Jam jest zbójnichą, a mąż mój śmierć wam niechybną zgotuje, gdy z lasu wróci!...

Ale Najśw. Panna ją uspokoiła, żeby próżnej obawy o nich nie miała, bo Bóg z nimi. Przed pójściem spać wzięła się jeszcze do wykąpania Jezusa w wanience na zapiecku, a widząc zbójnichę, że spogląda jakoś żałośnie na dziecko swoje w kolebce, rzekła do niej, by swego małego także w kąpiel włożyła.

— Jakżeż to uczynię — odpowie na to Najśw. Pannie — kiedy synaczek mój trąd ma na całym ciele?... Nie godzi go się kąpać razem ze zdrową dzieciną.

Matka Boska kazała jednak podać sobie zwrzodziałe zbójątko i własnemi rękoma w kąpiel go zanurzyła obok Jezusa swego, a gdzie jeno ciało woda oblała, tam w oczach znikał brzydki trąd i rany wygojone się zabliźniały. Poznał zbójca, że to cud i sumienie w nim odtajało; chciał złotem i srebrem płacić za takie uzdrowienie, chciał dziękować ze łzami, lecz się spostrzegł nareszcie, że te wszystkie skarby świata są marnością tylko i że trzeba wypłacić się Bogu inaczej, skruszoną duszę z plam oczyścić i ofiarować ją temu Dzieciąteczku, które przyszło z trądu grzechów ludzkich świat oswobodzić.

Tak też postanowił uczynić i pokutę rozpocząć ślubował.

Pan Jezus zaś na ręku Maryi Panny przemówił w te słowa do nowonarodzonego zbójątka:

— Jakośmy się kąpali razem, tak kiedyś razem pomrzemy!

I stało się tak — bo syn zbójcy nie poszedł za przykładem nawróconego ojca, jeno dorósłszy, z łotrzykami się wdawał, niepomny nauk i przestróg rodzicielskich.

W jednym czasie za zbrodnie swoje z Chrystusem pojmany był i ukrzyżowany na Golgocie.

On to z krzyża przemówił, patrząc na Chrystusa:

— Ten człowiek niewinny! — na co łotr po lewicy odmruknął:

— Musi być winny, skoro go wieszają.

P. Jezus obrócił wówczas głowę ku synowi zbója i rzekł mu:

— »Zaprawdę, dziś jeszcze ze mną będziesz w niebie«.

Ze wspólnej ich kąpiołki, która wonności przedziwnej nabrała, pozostało jednak wspomnienie takie: oto w ogródku, kędy zbójnicha ją wylała drugiego dnia, wyrosły pachnące zioła, a z tych ziół następnie trzy Marye zrobiły maście do namaszczenia ciała Chrystusowego po zdjęciu z krzyża, przed złożeniem do grobu.

II.

Dało się Maryi Pannie przemknąć przez bór i z rąk zbójeckich ujść cało; wyszła na pole pokrajane miedzą, pokarbowane w skiby, świeżo zorane, a puste jeszcze i nawet nie zieleniejące. Jak tu się skryć, kędy uciekać przed pogonią?... dokąd kroki swoje skierować, gdy kaci tuż, tuż z mieczami, krwią niemowląt zbroczonemi, pędzą i ścigają Bożą Dziecinę, aby i ona rzezi srogiej nie uszła?...

Po świeżej roli idzie Marya Panna z Dzieckiem na ręku, a przy Niej Józef; potykają się o bruzdy, ale idą, aby dalej, aby spieszniej!... Tchu im w piersiach braknie, jednak nie ustają, bo groza za nimi; król Heród ściga.

Dopadli do miedzy, a za miedzą chłopek pszenicę sieje.

— Pomaga Bóg, miły chłopku! — woła Najświętsza Panna.

— Daj Panie Boże, krasna pani! — odrzeknie siewacz.

— Dziś pszeniczkę siejesz, jutro ją żąć będziesz — mówi doń znowu, a on:

— Szczęśliwaś-by ty pani była, żeby się pszeniczka jutro żąć godziła.

Więc Marya Panna Jezusa Józefowi na ręce składa, sama się płachtą przepasuje i idzie rolą wzdłuż brózd zoranych; — drobną rączyną drobne ziarno sieje, a kędy tylko garść zboża rzuci, wytryskają z ziemi strumienie kłosów i falować zaczynają i pszenica wyrasta jak las. Zasiała tak całe pole daleko, daleko aż po sam kraniec gruntu i wróciła.

— Dziś jeszcze będziesz żął! — powiada z uśmiechem, bierze Dzieciątko swoje na rękę i odchodzi ścieżyną ku siołu, a chłopek to na cudowne zboże pogląda, to na tych troje, którym ziemia posłuszniejsza, niż samemu słońcu, to ku niebu patrzy, czy zeń Aniołowie nie zlatają i zrozumieć nic nie może, tylko się dziwuje: sen to, czy jawa?...

Aż nareszcie, jakby mu się rozwidniło w głowie, kolanami do ziemi przypada, w grzeszne piersi pięścią łomocze, czołem o ziemię uderza i tylko jedno słowo z głębi duszy powtarza:

— Pochwalony! pochwalony! pochwalony!

I żął dnia tego, jak mu Najświętsza Panna obiecała, ale gdy sierpem pszenicę zagarnął, od lasu drogą królewskie zbiry wypadły z hałasem.

— Hej, hola chłopie! — hukają nań groźnie — czy nie szła tędy niewiasta z dzieckiem na ręku i starowiną samotrzeć?...

— Szła — mówi żeniec.

— A kiedy, kiedy? — dopytują.

— A wtedy, kiedym tę pszeniczkę siał.

— Wtedy jeszcze, a teraz już dostałą żniesz?... to i ścigać ich dalej próżny trud!...

Wrócili z niczem, straciwszy nadzieję, by zdołali dopędzić zbiegów, a Rodzina święta była już daleko, daleko... i Bóg ją dalej bezpiecznie prowadził.



Po raz ostatni.

(Z ryciną).

Po raz ostatni rzucili spojrzenie
Za tem, co dla nich szczęścia było niebem,
Ukryli ciężkie rozpaczy westchnienie,
I poszli biedni w dal ciemną za chlebem *).

Po raz ostatni jeszcze tam u krzyża
Zmówią modlitwę pełną łez tłumionych,
I pójdą — słońce za lasy się zniża
Zagląda w okna ich chat porzuconych.

Czyliż powrócą oni tutaj kiedy
Spocząć na progu rodzinnym przez chwilę?

*) Mowa tu o tych co wywędrowali do Brazylii.

Po latach wielu tułactwa i biedy,
Tęsknoty, której było w życiu tyle?

Czyliż powrócą wzmocnić swoje dusze
Widokiem tych miejsc uroczej młodości,
Zapomnieć wszystkie przebyte katusze
I o swobodnej zamarzyć przyszłości?

Czyliż powrócą z ojców swych prochami
Złączyć swe kości śród ciszy cmentarnej,
I bladym cieniem błąkać się czasami
Na znanych drogach, pośród nocy czarnej?

O! nigdy, nigdy może nie powrócą
Zasiąść z spokojem za ojcowskim stołem,
Lecz z snów ułudnych wkrótce się ocucą
Stargani życiem — z pooranem czołem.

Gdy dzisiaj wyjdą, o! może na wieki
Rzucą swej wiosce pożegnanie bratnie,
I ociężałe od płaczu powieki,
Dzisiaj jej dają spojrzenie — ostatnie. *M. S.*

Pogadanki naukowe.

Sen zimowy u zwierząt.

Ciekawa to przecież rzecz, co się też dzieje z tylu zwierzątkami, ślimakami, owadami, które żyją dłużej, niż jeden rok, a których jednak w zimie nie widzimy.

Wiele ptaków odlatuje od nas w jesieni w kraje cieplejsze, ale owady różne, ślimaki i niektóre zwierzęta czworonożne zostają u nas przez zimę, lecz w ukryciu i uśpione, dlatego ich nie widzimy.

Zdawałoby się, że przy tak silnych nieraz i długotrwałych mrozach powinno w nich życie wygasnąć, lecz Opatrzność Boża mądrze to wszystko przewidziała i urządziła.

Trzeba wiedzieć, że do życia potrzeba zwierzętom, jak i ludziom, wewnętrznego ciepła. To ciepło wewnętrzne u ptaków i u zwierząt czworonożnych wytwarza się i jest skutkiem wciągania powietrza czy to do płuc jak u nas, czy skrzelami jak u ryb, czy rurkami rozrzuconemi po ciele jak u owadów.

W lecie żyją te wszystkie istoty swobodnie i wesoło, ale gdy się zbliża zima, to wskutek oddychania zimnego powietrza, ubywa im ciepła wewnętrznego, a że oddychają przytem słabo i powoli

więc nie są zdolne wynagrodzić sobie utraty tego ciepła, a temsamem utrzymać swego życia i ruchów tak, jak latem.

Dlatego Stwórca Najwyższy odbarzył je szczególną i godną podziwienia sposobnością długiego i ciągłego snu, podczas którego przechodzą z życia czynnego do życia jakby utajonego, skrytego; są jakby w zachowawczem odrętwieniu.

Podczas tego snu czynności potrzebne do utrzymania życia nie ustają. Takie zwierzęta za zbliżaniem się zimy, stosownie do swego sposobu życia, szukają najpierw odpowiedniego schronienia, gdzieby najmniej dokuczało im zimno. Jedne chowają się w szpary, szczeliny muru, drew, jak n. p. pająki i inne owady, lub w kupy ziemi, liści, gnoju, inne do piwnic, inne w muł, jak ryby, żaby i w takiem ukryciu śpią, nie biorąc z zewnątrz żadnego pożywienia, ale natomiast karmią się własnem ciałem, żyją kosztem swego jestestwa, jak o tem najlepiej świadczy zmniejszenie ich ciężaru i powolne chudnienie. Jednakże ciągle oddychają, tylko daleko powolniej, aniżeli wtedy, gdy są pełne życia czynnego.

Lud nie wie właściwej przyczyny, dlaczego n. p. niedźwiedź w zimie gdy śpi, chudnie, a jednak trafnie to określa, mówiąc: że niedźwiedź ssie swe łapy! — Sen zimowy nie jest koniecznością, ale tylko darem dobroczynnym, z którego tylko wtedy korzystają zwierzęta, gdy mają nastąpić wielkie zimna. Powiadają przecież że niedźwiedzie podczas lekkiej zimy nie zasypiają, ale są ciągle w ruchu.

Można też sztucznie tak w lecie, jak w zimie zmuszać zwierzęta do snu zimowego, umieszczając je w miejscu mocno oziębionem i odwrotnie; w zimie można zwierzęta śpiące przebudzić, ocieplając tylko miejsce ich pobytu.

Ten sen zimowy długo trwać nie może, bo jak wspomnieliśmy, zwierzęta będące w odrętwieniu zimowem żywią się samemi sobą, dopóki więc nie wyczerpie się tłuszcz w ich ciałach, dopóty żyją; gdy zaś długa zima nie pozwala im się przebudzić, wówczas dla braku soków służących do ogrzewania ciała i przy wielkiej stracie ciepła od mrozów, przemarzają i giną.

Pytanie teraz zachodzi, czy zmrożony zwierz może jeszcze przez ogrzanie przyjść do życia.

To zależy od siły mrozów, a więcej od gatunku zwierząt. Zwierzęta doskonalsze, mające wewnętrzną budowę ciała więcej złożoną, te raz przemrożone, nie mogą już powrócić do życia, inne zaś niższego rzędu, przemrożone, po odtajaniu wody, lub ogrzaniu, napowrót są pełne życia.

Tak naprzykład, niektóre owady przy słabym mrozie tracą zaród życia i giną, innym zaś nawet bardzo silne mrozy nie szkodzą. Ryby zamrożone, sztywne jak kije, po włożeniu do wody le-

tniej wracają często do życia. Żaby wystawione na mróz w naczyniu zamkniętem, napełnionem ziemią, przemarzają. Ich członki są zupełnie niegiętkie i kruche, a gdy się je złamie, to nie widać ani kropli krwi. Włożone w tym stanie do wody letniej, wkrótce nabierają giętkości członków i w dziesięć minut wracają do życia. Lecz do tego potrzeba, aby zamrażanie było powolne, bo gdy mróz chwyci zwierzęta nagle, to giną one bezpowrotnie.

Zdarza się, że przy gwałtownych mrozach zwierzęta takie same się przebudzają — jak to widać często na pająkach śpiących w szparach muru — i tak chwilowo rozbudzone szukają cieplejszego schronienia, a nie mogąc go prędko znaleść, giną od mrozu.

Dowiedzmy się jeszcze, czy uśpione zwierzęta czują?

Zwierzęta takie śpią zwykle w kłębek zwinięte, aby jak najmniejszą powierzchnią swego ciała stykały się z powietrzem lub zimną ziemią; są zdrętwiałe i bardzo mało czułe. W tym stanie, byle ich nie wystawiać na zbytni mróz ani na ciepło, można je przenosić, taczać, rzucać, pakować w siano i bardzo daleko przesyłać.

W pieczarze, gdzie zimują nietoperze do ścian przyczepione, można strzelać, a niepodobna ich rozbudzić. Gdy się jednak boleśnie ukłuje nietoperza lub uśpionego jeża, spostrzegamy, że te zwierzęta zaczynają szybciej oddychać, ogrzewają swe ciało i rozbudzają się z uśpienia. Gdy się zaś przestanie boleśnie je drażnić, napowrót usypiają i wpadają w pierwotne odrętwienie.

Niektóre zwierzęta zapadłe w sen zimowy można przez jakiś czas trzymać pod wodą, a życia nie stracą, podczas gdy te same zwierzęta przy życiu czynnem zanurzone w wodzie i trzymane w niej przez taki sam czas — giną.

Jednem słowem, patrząc na to dziwne zjawisko snu zimowego u zwierząt, człowiek myślący musi uwielbiać mądrość Stwórcy i korzyć się przed Nim.

Rady gospodarskie.

Pranie kożuchów. Dobre białe mydło gotuje się w miękkiej wodzie, mydliny te cedzą się przez płatek. W letnich, ale żadną miarą nie w gorących mydlinach pierze się kożuchy, nie zacierając ich w ręku, tylko przez zanurzanie i lekkie przyciskanie. Mydliny trzeba kilka razy odświeżyć, a potem w miękkiej lub deszczowej wodzie wypłukać.

Suszyć trzeba kożuch na powietrzu, po uschnięciu posypać mączką kartoflaną, dobrze wyczesać, a na ostatku wytrzepać.

Z czego najlepiej wypiekać chleb? W Petersburgu robiono próby przed kilkoma laty co do zastąpienia chleba żytniego innym. Próby te wykazały, że mieszanina mąki żytniej z owsianą jest za mało pożywną; mieszanina mąki żytniej z grochową jest ciężka i daje pieczywo dość smaczne i dość pożywne, ale trzeba do niej dodać więcej soli, w stosunku mniej więcej funta soli na 48 funtów mąki. Znośny chleb otrzymuje się z mieszaniny mąki żytniej i kartofli w ten sposób, że na 2 funty mąki żytniej bierze się funt mąki z kartofli. Lepszy znacznie chleb można mieć z mąki żytniej z dodatkiem kukurydzianej, ale należy brać funt mąki z kukurudzy na 2 funty mąki żytniej. Najgorszym okazał się chleb z mąki żytniej z domieszką słodowej ze słodu jęczmiennego.

Podskubywanie gęsi nie jest godnem pochwały ani bardzo użytecznem w gospodarstwie. Obdzierając żywego ptaka z pierza, dopuszcza się taki człowiek okrucieństwa na biednem stworzeniu. Ptaki obskubane, wystawione przytem na dżdżyste i zimne powietrze, marnieją, chorują, a nawet czasem i giną, a już w najgorszym razie nie rosną dalej. Na Pomorzu, gdzie najwięcej gęsi hodują, nie znają wcale podskubywania. Gęsi na chów przeznaczonych najlepiej wcale nie podskubywać; wszystkie zaś inne podskubywać można, ale tylko w czasie gubienia pierza i to ostrożnie, aby nie sprawiać im zbytecznego bólu.

Środek tani a wypróbowany przeciw zającom. W czasie śnieżnej zimy trudno bardzo ustrzedz drzewa zwłaszcza owocowe od uszkodzeń przez zające. Za pomocą jednak smarowidła, złożonego z wapna, ziemi, odchodów krowich i ludzkich, można ochronić drzewa, nawet w czystem polu sadzone, od napaści tych szkodników, które nie dotykają się nawet drzew, pokropionych ową mieszaniną.

Głąby od kupusty zazwyczaj zostawia się na kapustniku i przyoruje na wiosnę następnego roku, albo też miesza się z kompostem, aby w ten sposób przysporzyć nieco nawozu. Postępowanie takie jest nader niepraktyczne. Gdy się bowiem z bliska przypatrzymy głąbowi po ścięciu główki kapusty, już gołem okiem dostrzeżemy na nim mnóstwo wypukłości, bywa ich czasem na jednym po 50 i kilka, a gdy je ostrożnie rozkroimy, znajdziemy w każdej małego robaczka, który nie jest niczem innem, tylko zarodkiem pewnego chrząszcza, wielkiego szkodnika kapusty, składającego jajka swe u osady liści kapuścianych, które obumierają, gdy z owych jajek wylęgną się bardzo żarłoczne larwy. — Z tego powodu powinien każdy staranny gospodarz, wybierając z dwojga złego mniejsze, odżałować tej odrobiny mierzwy, jaką mieć może z głąbów kapuścianych i natychmiast spalić je do szczętu, skoro tylko kapusta została sprzątnięta.

Kronika kościelna.

— **Z Rzymu.** Dnia 29 listopada zeszłego roku odbył się tajny konsystorz, na ktorym Ojciec św. zamianował 10 nowych kardynałów, między nimi lwowskiego ruskiego (tj. grecko-katolickiego) Arcybiskupa X. S. Sembratowiczą i księcia Biskupa Hallera z Salcburga. Nadto prekonizował 24 Biskupów, do których należy i X. kanonik Weber ze Lwowa, obecnie sufragan lwowski. — Z końcem zeszłego roku *zmarło z dawniejszych kardynałów* dwóch, mianowicie umarł kardynał Persico i kardynał Melchers. — *Ojciec św.* był w listopadzie przez krótki czas słaby, nabawił się bowiem lekkiego przeziębienia, ale teraz, dzięki Bogu jest znowu zdrów.



— **Jego Eminencya X. Kardynał Sylwester Sembratowicz,** o którego nominacyi wyżej piszemy, a obok podajemy jego portret, urodził się w Przemyślu r. 1836. Do stanu duchownego przygotowywał się i kończył nauki w Rzymie, po ukończeniu zaś nauk został profesorem w seminaryum ruskiem we Lwowie. Dnia 28 lutego 1879 r. mianowany został Biskupem-sufraganem, czyli pomocnikiem Arcybiskupa X. Józefa Sembratowicza, swego stryja, a gdy ten wnet potem zrzekł się tej godności i wyjechał do Rzymu na stały pobyt, X. Sylwester Sembratowicz objął po nim stolicę arcybiskupią.

X. Arcybiskup odznacza się (obecnie X. Kardynał) tem głównie, że śmiało i odważnie występuje przeciw owym niegodziwym agitacyom, które ciągną Rusinów naszych ku Rosyi. X. Kardynał na każdym kroku zwalcza te agitacye, wykazując Rusinom, że ich szczęście leży nie na drodze do Rosyi, ale na wierności dla Stolicy św. dla Cesarza, i w zgodnem pożyciu z Polakami. Tak szlachetna praca musiała pozyskać sobie uznanie u Cesarza i u Ojca św., a wynikiem tego uznania jest wyniesienie X. Arcybiskupa do godności kardynalskiej.

Ojciec św. i Cesarz dali przez to dowód, że chcą naród ruski i Kościół ruski przez to odszczególnić, i że bynajmniej nie pragną uciskać cerkwi i obrządku ruskiego, ale przeciwnie chcą otoczyć je blaskiem chwały.

— **Najprzew. X. Weber,** mianowany Biskupem-sufraganem lwowskim, czyli pomocnikiem J. Exc. X. Arcybiskupa Morawskiego we Lwowie, urodził się na Bukowinie we Fürstenthalu r. 1846. Nauki gimnazyalne ukończył we Lwowie, teologiczne zaś częścią we Lwowie, częścią w Rzymie. Po wyświęceniu na kapłana był wikaryuszem we Lwowie, później prefektem i ojcem duchownym przy seminaryum kleryków

tamże. W roku 1885 został kanclerzem konsystorza, a w roku 1894 kanonikiem katedralnym, zaś dnia 29 listopada 1895 r., Ojciec św. wyniósł X. Webera do godności biskupiej.

— **W sprawie odnowienia kościoła katedralnego** na Wawelu w Krakowie, czyli pokrycia kosztów na ten cel, wniósł Najprzew. Książę Biskup krakowski podanie do Wydziału krajowego, aby tenże wyjednał u Sejmu subwencyę 100 tysięcy reńskich, rozłożonych na 5 rat rocznych. Wydział krajowy, zgodnie z tem życzeniem Księcia Biskupa, postanowił przedstawić Sejmowi wniosek o wyznaczenie powyższej kwoty z funduszów krajowych, z tą tylko małą zmianą, aby tę kwotę wypłacił kraj nie w 5, lecz w 10 latach, a to z tego względu, żeby nie ucierpiał na tem budżet krajowy.

— **Uczęszczanie żydów do kościołów katolickich.** Konsystorz biskupi obrządku łacińsk. w Przemyślu wniósł 26 listopada 1895 r. zażalenie do Namiestnictwa, iż tam, gdzie są siedziby urzędów, urzędnicy rządowi — żydzi — przychodzą w dnie galowe na nabożeństwo do świątyń katolickich, a to razi i gorszy katolików. Namiestnictwo uwzględniając słuszność tego zażalenia, wydało 1 grudnia 1895 r. rozporządzenie, w którem zwróciło uwagę starostw, że żydów urzędników nie należy zapraszać na nabożeństwa odprawiane w kościołach katolickich. Do tego rozporządzenia mają się też stosować i władze sądowe.

— **Z Tarnowa** piszą nam: »Z woli i łaski Najprzew. X. Biskupa Łobosa mieli tutejsi parafianie prawdziwą ucztę duchową w dniach od 17 listopada do 3 grudnia 1895 r. Odbywały się tu bowiem misye św. pod kierunkiem XX. Misyonarzy z krakowskiego Kleparza. Dzielni ci kaznodzieje (a było ich czterech), tak dalece potrafili rozruszać nawet najobojętniejszych na słowo Boże, że dzień po dniu przez cały ciąg tych pobożnych ćwiczeń katedra tarnowska była po brzegi zapełniona, niemniej też oblężone były konfesyonały. Około 10 tysięcy wiernych brało w tej misyi św. udział, i to nietylko takich, co obowiązków religijnych zazwyczaj nie zaniedbują, ale bardzo wielu znalazło się także takich przy kratce słuchalnicy i u Stołu Pańskiego, o których nawróceniu już może niejeden powątpiewał. Rzewną nadzwyczaj była ceremonia błogosławienia dziatek i wkładania tymże poświęconych medalioników, jak również uroczyste oddanie całej rozległej parafii w opiekę Królowej nieba. Dałby to Bóg, aby zbawienne owoce i skutki z tej Misyi św. przetrwały kamienny krzyż na tę pamiątkę na zewnętrznej ścianie kościoła umieszczony.«

— **Wielka niegodziwość.** We wiosce Orzechowcu nad Zbruczem w powiecie skałackim, należącej do parafii Kaczanówka, postanowili tamtejsi Polacy, których tam jest 500, zbudować sobie kapliczkę i wzięli się do dzieła 16 listopada. Nazajutrz w niedzielę zbiegli się Rusini z siekierami w rękach i na umówiony znak z okrzykiem »hurra« rzucili się na ściany kaplicy i poczęli ją burzyć. Nie zburzyli jej jednak całkowicie, bo żandarmerya się zjawiła, i przeszkodziła tej dzikiej i barbarzyńskiej robocie. Sprawę oddano starostwu w Skałacie, a tymczasem Rusini zburzyli kaplicę do reszty. Warto nadmienić, że gdy przed kilku laty budowano tam nową cerkiew, to łacinnicy prócz robocizny ofiarowali 1000 złr, na ten cel. Doczekali się teraz pięknej zapłaty od Rusinów. Są to skutki agitacyi owych panów, którzy lud ruski podszczuwają ciągle przeciw szlachcie i wogóle przeciw Polakom. Oni to prowadzą lud do zdziczenia.

— **Burzenie krzyżów.** Z Telsz (pod Moskalem) donoszą, iż tamtejszy isprawnik z polecenia p. Klingenberga oznajmił hr. Wł. Platerowi dziedzicowi wsi Szutejk, iż ma znieść krzyż, stojący na placu przed kościołem, wystawiony przed półtora rokiem. Rozkaz był dany hrabiemu w czerwcu zeszłego roku. Gdy hr. Plater tego nie uczynił, przybył około 17 listopada 1895 r do Szutejk uriadnik z kilkunastu dziesiętnikami i otwarcie razem z nimi rozgłaszał między ludem: »przyjedziemy tu niezadługo znieść krzyż.« Widocznie chciał, żeby lud przygotował się do stawienia takiego oporu, jak w Krożach, aby gubernator miał następnie przyjemność opór taksamo »przytłumiać,« jak w Krożach. Następnie w drugą rocznicę rzezi krożańskiej, to jest dnia 23 listopada przyjechał do Szutejk prystaw stanowy z uzbrojonymi uriadnikami i dziesiętnikami, wszystkich około 20 ludzi, i polecił najprzód księdzu Proboszczowi, żeby krzyż usunął. Proboszcz rozkazu nie usłuchał. Poczem tłuszcza policyjna rzuciła się na krzyż, z murowanej podstawy go wyrwała, na cmentarz przykościelny przeniosła i tam pod kościołem porzuciła. Oporu ze strony ludu nie było.

— **Na Podlasiu** prześladują dalej Moskale w okrutny sposób nietylko Unitów, ale i prawowiernych, którzy od najdawniejszych czasów do Kościoła rzymsko-katolickiego należą i z prawosławiem nie mieli nic wspólnego.

Prześladowanie wszystkiego co katolickie istnieje w całem Królestwie Polskiem już oddawna, nigdzie jednak nie dzieje się z taką zażartością, jak na Podlasiu. Moskalom zdaje się, że to rzymsko-katolicy temu winni, iż Unici z taką wytrwałością bronią swej wiary i dla tego właśnie chodzi im tam o zgnębienie Kościoła.

Pragną dla tego odłączyć nawet całe Podlasie od Królestwa Polskiego, a przyłączyć do jednej z gubernii rosyjskich. Nie pozwalają tamże budować nowych kościołów katolickich, nie pozwalają reparować starych kościołów, wiele kościołów pozamieniano na cerkwie.

Już 14 kościołów katolickich, nie pozwolono odbudować, częścią pozabierano na cerkwie. W powiecie bialskim z 15 kościołów obrządku łacińskiego pozostały tylko 3. Katolików zaś prześladują w rozmaity sposób. Dzieci rodziców, ochrzczonych przez księży unickich, dalej takich, z których ojciec lub matka byli Unitami, zmuszają bywać w cerkwi, bo tak nakazuje prawo rosyjskie kościelne. Mnóstwo rodzin za niewypełnianie tego prawa, za branie udziału przy zaślubinach Unitów, wysyłano na wygnanie w głąb Rosyi. Wystarczyła denuncyacya, że ten lub ów jest niebezpieczny, a już odnośna osoba porzucić musiała gniazdo rodzinne.

Nowiny i Rozmaitości.

— **Sejm galicyjski** zwołany został patentem cesarskim na dzień 28. grudnia 1895 r. i w tym dniu rozpoczął obrady. Sejm bukowiński zacznie się 10 stycznia b. r.

— **Rusini** galicyjscy, w liczbie przeszło 200 osób (księży, panów, a przeważnie włościan), byli w połowie (tj. 16-go) grudnia zeszłego roku na audyencyi u Cesarza i wnieśli zażalenie przeciw zeszłorocznym wyborom do Sejmu, żądając przy tem, aby Cesarz Sejm rozwiązał i wysłał do Galicyi osobnego komisarza dla zbadania sprawy. Najjaśn. Pan nie przyjmował wprawdzie całej gromady Rusinów, tylko sześciu z nich

i oświadczył im, że naród ruski jest tak bliskim jego serca, jak i inne narody monarchii, ale dodał równocześnie, że to bardzo niepięknie, iż Rusini, a zwłaszcza księża przyjechali do Wiednia właśnie wtedy, kiedy do Lwowa odbywa wjazd nowomianowany Kardynał z ich narodu. Zauważył też Najjaśn. Pan, że liczba członków deputacyi jest za wielką, a to jest kosztownem. Na drugi zaś dzień po obiedzie dworskim, na który zaproszonych było kilku posłów, rzekł Cesarz z wyrazem politowania, wspominając o tej deputacyi: »Biedni włościanie! kto też za to wszystko zapłaci!«

— **W sprawie wychodźctwa** za morze postawiło Koło polskie przed świętami Bożego Narodzenia wniosek w Radzie Państwa, żądając, aby rząd zaprowadził nowe prawo karne przeciw ajentom, którzy lud bałamucą, obiecując mu złote góry za morzami i przeciw lichwiarzom, aby powstrzymać nierzetelne wykupywanie gruntów włościańskich z okazyi wychodźctwa, oraz, aby rząd w najkrótszym czasie przedłożył ustawę regulującą całą sprawę wychodźctwa.

— **Cesarz niemiecki** Wilhelm odwiedził dnia 17 grudnia całkiem niespodzianie księcia Bismarka, w jego miejscu zamieszkania we Friedrichsruh. Ta wizyta daje politykom dużo do myślenia, boć wszakże ten sam cesarz usunął Bismarka z kanclerstwa przed kilkoma laty, a teraz sam jeździ do niego.

— **W Rosyi** zawiał dla tamtejszych Polaków pomyślniejszy wiatr od strony rządy, ale tylko tak pozornie, bo prześladowanie wiary katolickiej trwa dalej — jak to wyżej piszemy w »kronice kościelnej.« Car Mikołaj zniósł rozporządzenie swego ojca, które zakazywało nadawać Polakom wybitniejsze posady przy kolejach. Równocześnie gazety moskiewskie piszą, że rząd wcale nie myśli ani pragnie zniszczenia narodu polskiego. Wszystkie te przychlebstwa są jednak bardzo podejrzane. — *Koronacya cara* odbędzie się tego roku w maju w mieście Moskwie. Jako przedstawiciel Austryi ma pojechać na tę koronacyę arcyksiążę Karol Ludwik. Także i Ojciec św. wyśle swego zastępcę, ale dopiero na drugi dzień po koronacyi, bo zastępca Ojca św. nie może być obecnym na obrządku prawosławnym. Spodziewają się, że na koronacyę przybędzie z pół miliona ludzi, dla którego przygotowują już osobny plac, oraz różne zabawy ludowe. — *Matka obecnego cara* ma najwięcej wpływać na niego w tym kierunku, aby tenże rządził ostro, tak jak zmarły car Aleksander III. Car jej podobnoś ulegał, ale teraz słychać, że zaczyna więcej słuchać żony, która jest przeciwną ostrym rządom. Rozeszła się pogłoska, że obie te niewiasty ze sobą się poróżniły z tej przyczyny, a matka odgraża się, że wyjedzie z kraju — nie szkodziłoby, bo możeby wtedy car łagodniejsze zaprowadził rządy.

— **W Turcyi** ciągle niespokojno, a mordowanie chrześcijan, głównie Armeńczyków, trwa dalej. Swoją drogą Armeńczycy Turkom nie przepuszczają, i gdzie mogą, to także ich mordują. W prowincyi Wan zbużyli Kurdowie (naród rozbójniczy) 30 wiosek armeńskich i większą część mieszkańców wymordowali. We wsi Jurtalon zabili 200 Armeńczyków. Jedni piszą, że już przeszło 60 tysięcy Armeńczyków wymordowano — inni jednak głoszą, że daleko więcej. W całej Małej Azyi narzucają Armeńczykom gwałtownie wiarę mahometańską. Wielu z nich dla uratowania życia przyjmuje tę pogańską wiarę, ale większa część woli umrzeć śmiercią męczeńską niż wyrzec się wiary chrześcijańskiej. W Ichme umęczono 52 Armeńczyków. W Ouzoon 55 Armeńczyków

rzuciło się w fale rzeki, ażeby uchylić się od gwałtownego nawrócenia i znalazło w nurtach wody śmierć straszliwą. Turcy z brzegu strzelali do tonących. W Murasz pewien armeński duchowny zginął powolną męczeńską śmiercią. Również dwaj protestanccy kaznodzieje i pewien kapitan syryjski ponieśli zgon męczeński. Tysiące młodych kobiet i dziewcząt zabrali sobie Turcy.

Według przybliżonych obliczeń, liczba Armeńczyków pozbawionych dachu dochodzi już do miliona. Rząd surecki jest wobec tego i za słaby i jakoś tak postępuje powoli z mobilizacyą wojska, jakby mu te mordy chrześcijan były na rękę. Mocarstwa europejskie ciągle się domagają, by rząd turecki już raz zaprowadził jakiś porządek, sułtan czyli cesarz turecki, przyrzeka to zrobić, a swoją drogą mało co w tym względzie robi, bo ma w otoczeniu takich ludzi, starych Turków, którzy nie chcą dać chrześcijanom żadnych ulg i radziby ich wszystkich wygubić. Coraz głośniej mówią, że z przyczyny Turcyi może na wiosnę łatwo wybuchnąć wojna powszechna, a Anglia chciała już podobnoś złożyć z tronu cesarza tureckiego, to zaś tylko przyspieszyłoby wojnę.

— **Aresztowania chłopów.** Z Królestwa Polskiegu donoszą: Policya i żandarmerya rosyjska od kilku już lat pilnie bada, czy między ludem wiejskim niema jakich śladów miłości ku Ojczyznie, zagrabionej przez Moskali. W ostatnich czasach przekonali się Moskale, że istotnie chłopi po wsiach zaczynają śpiewać »pieśni narodowe«, czytają książki polskie i coraz więcej poznają, że są Polakami. To się Moskalom bardzo niepodoba, a chcąc stłumić w ludzie miłość Ojczyzny — aresztują chłopów, nakładają na nich różne kary i zamykają do więzień na 3 do 8 tygodni.

— **Ładni przyjaciele ludu.** W Saksonii jest dużo bagnisk torfowych. Pewna saksońska gazeta ludowa wyraziła zdanie, że należałoby te bagniska osuszyć. Na to socyaliści w swojej gazecie odpowiedzieli, że się zupełnie na to oszuszenie nie zgadzają, bo po wysuszeniu osiedlonoby tam chłopów, co najmniej 225 tysięcy rodzin. Chłopi zaś nie przystaną nigdy na nasze (socyalistyczne) żądanie zniesienia prywatnej własności. Lepiej więc nie osuszać bagien, niż dawać je osuszone ludowi. Tak powiedzieli socyaliści, którzy ciągle wrzeszczą, że są przyjaciółmi ludu.

— **Paszporty do Brazylii.** Urzędowa *Gazeta lwowska* oglosiła co następuje: rząd włoski, przez którego kraj przejeżdżają ci, którzy jadą do Brazylii, wydał rozporządzenie, iżby policya włoska w Pontafel dozwolała wstępu tylko tym osobom, które uczynią zadość następnym wymaganiom: 1) które posiadają kartę okrętową z Genui do Ameryki; 2) posiadają dostateczny fundusz na podróż z Pontebby do Genui; 3) posiadają dokument legitymacyjny, ważny do podróży za granicę państwa; 4) przybędą do stacyi granicznej nie wcześniej, jak na dni pięć przed odjazdem okrętu, na który ich karta okrętowa opiewa.

Wobec tego polityczne władze powiatowe otrzymały polecenie, ażeby osobom, zamierzającym wyjechać do Brazylii, wydawały paszporty tylko wtedy, jeżeli uczyniły zadość ogólnym przepisom, wydanym w tym względzie w obwieszczeniu ministeryalnem z dnia 10 maja 1867 Dz. pr. p. nr. 80, przepisom ustawy o obowiązku służby wojskowej itd., a nadto jeżeli: 1) wykażą się oryginalną kartą okrętową, za którą nie można uważać przekazów, wystawianych przez agenta Nodarego z Udine i jego podagentów; 2) na pokrycie kosztów podróży z kraju do Genui wykażą się przynajmniej kwotą 50 złr. od osoby; 3) stosownie do wy-

rażonego dawniej zastrzeżenia rządu włoskiego wyjeżdżają z okolicy, w której nie panuje żadna choroba epidemiczna.

Paszport będzie wydany nie wcześniej jak dziesięć dni przed odjazdem okrętu, na który karta okrętowa opiewa. Data odjazdu okrętu jest zawsze wymieniona w karcie okrętowej. Zauważa się także, że według oznajmienia konsulatu w Genui, wychodźcy nie potrzebują tam przybywać wcześniej jak w przeddzień odjazdu okrętu.

— **„Kolenda dla sług"** na rok 1896. Pod takim tytułem wyszła książeczka nakładem X. Łukowskiego w Tarnowie. Kosztuje tylko 5 centów. W książeczce tej znajdują się bardzo piękne i pożyteczne nauki i rady dla służących. Nabyć ją można w *księgarni K. Raschki* w Tarnowie.

— **Przeciw Kółkom rolniczym**. We Lwowie zawiązali żydzi stowarzyszenie dla popierania żydów handlarzy po wsiach i małych miasteczkach. Stowarzyszenie to nazwali po niemiecku: *Kleinhandelsschutzverein*, a ma ono na celu szkodzić Kółkom rolniczym i sklepikom chrześcijańskim, które żydzi uważają za bardzo niebezpieczne i szkodliwe dla handlu żydowskiego. Dla chrześcijan powinno to być zachętą, by coraz więcej Kółek i sklepików po wsiach i miasteczkach zakładali, bo jeżeli żydzi tak się biorą do nas, to czemuż my nie mamy się bronić! Szkoda, że lud wiejski jeszcze dobrze tej sprawy nie pojmuje.

— **Visum repertum** czyli świadectwo lekarskie w sprawach karnych trzeba było dotychczas zaopatrywać w stempel 50 ct., a kto tego nie zrobił, ten płacił karę. Licząc na jeden powiat na rok tylko 200 *visum repertum* — ściągano w ten sposób co roku z najbiedniejszej ludności, bez potrzeby, po kilka tysięcy reńskich. W roku zeszłym wniósł Dr. S. Mikołajski z Ciężkowic rekurs przeciw karze stemplowej, a krajowa Dyrekcya Skarbu wydała 28 sierpnia 1895 r. (L. 71 i 756) orzeczenie, iż *visa reperta* nie podlegają należytości stemplowej, jeżeli są pisane w *formie doniesienia do sądu o uszkodzeniu cielesnem.*

Figle i żarty.

Rozumowanie pijaka: No, No! Jeżeli woda tak zmarnowała moje buty, ładniebym wyglądał z moim żołądkiem pijąc — wodę.

Co zrobiła z pijawkami!:

No, cóż tam Wojciechowo z waszym?

— A lepiej, proszę łaski pana doktora. Ale z temi pijawkami co je pan doktór mu zapisał, to co ja miałam dopiero za biedę! Trzy, to jeszcze mógł przełknąć surowe, ale resztę tom musiała obsmarzyć.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.